

# Listy, dzienniki i pamiętniki

Karolina Dietrich





Karolina Dietrich

# Listy, dzienniki i pamiętniki

Karolina Dietrich  
*Listy, dzienniki i pamiętniki*

© Karolina Dietrich 2020

ISBN 978-83-968106-4-9

REDAKCJA I KOREKTA  
Agnieszka Niegowska

SKŁAD I ŁAMANIE  
Piotr Górski

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI  
Jakub Ferenc

Wydanie II, 2023

*Imiona i nazwiska są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo  
do osób i zdarzeń jest przypadkowe.*



Obudziłam się zrana zimnym potem, spoglądałam na metalowe pręty. Za nimi robiło się widno. Dreszcze wykonywały nieprzyjemny masaż. Tańczyły zadziornie po moim ciele jak nieproszona hołota na vipowskiej imprezie. Moje ciało było jak sparaliżowane, nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Pościel zrobiła się ciężka niczym trzydrzwiowa szafa. Znowu miałam ten sen. Znowu śnił mi się mój mąż i to, że mogłam go wtedy powstrzymać. Uratować. A jednak nie zrobiłam tego, z premedytacją popychając go w objęcia śmierci. Przynajmniej tak powiedział prokurator, resztę potwierdził i uprawomocnił sąd.

Tego dnia padał deszcz, ulewa jakby kto odkręcił kurek w chmurze. Było ciemno i groźnie. Październikowe wieczory zazwyczaj są nieprzyjemne, a ten był wyjątkowo paskudny. Nudne, ciągnące się jesienne wieczory zwiastują mroźną zimę i długi sen.

Tamtego roku zapadłam w sen, ale nie obudziłam się na wiosnę. Mój sen trwa nadal i będzie trwał jeszcze kilka długich lat. Za dużo się wydarzyło. Z perspektywy czasu mogę przyznać, że połowę swojego życia przespałam. A druga połowa zapowiadała się jeszcze gorzej. Tak to jest, jak od urodzenia żyje się pod płaszczykiem kłamstwa. Człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak tylko wierzyć, że świat jest zły. A z czasem i on sam staje się jak ten świat.

– Po co komu psycholog... – mawiał mój świętej pamięci ojciec, w którego jako mała dziewczynka wpatrzona byłam niczym w najpiękniejszą panoramę. – Psychologowie to banda kretynów. Znasz przecież ten kawał... – powtarzał, kiedy informowałam rodziców, że muszę, że chcę, że potrzebuję pomocy.

– Jaki znów kawał? – pytałam bezradnie. – Moje życie się nie klei... Nie wiem, co robię, nie wiem, co mówię, nie wiem, kim jestem... Czuję, jakbym nigdzie nie pasowała...

– To ci go opowiem – odpowiadał na to. – W pewnej wsi mieszkał Jasio, który ciągle szczał w gacie. W końcu wybrał się do psychologa. Po półrocznej terapii wrócił na wieś, a mieszkańcy pytali go z zaciekawieniem: „I co, Jasiu, jeszcze szczasz w gacie czy psycholog ci pomógł?”. A Jasio im wtedy odpowiadał: „Tak, cały czas szczam w gacie, ale teraz jestem z tego dumny!”. I tacy właśnie są psychologowie... Weź się lepiej w garść i przestań marudzić. Nie zmusisz nikogo, by cię polubił, a tym bardziej pokochał. Widać niektórzy tak mają, że nie da się ich polubić.

Tak zazwyczaj kończyła się rozmowa z moim ojcem, kiedy byłam nastolatką; „Weź się w garść, nieudacznico”, „Pogódź się z tym”... Nigdy nie zapytał, co mi dolega, dlaczego tak się zachowuję, jak się czuję. Nigdy nie wziął mnie na kolana i nie przytulił. Wtedy tego nie rozumiałam. Myślałam, że to we mnie tkwi problem, że to ja jestem beznadziejna, skoro nawet własny ojciec nie chce stworzyć ze mną więzi.

A mama? Gdzie wtedy była mama? Ona była tak samo zaszczuta jak ja. Wycofała się z życia rodzinnego. Wielka nieobecna. Codziennie zażywała masę leków i piła spore ilości alkoholu, ale do głowy



mi nie przyszło, że to z mojej winy. Gdybym wcześniej znała prawdę, inaczej pokierowałabym swoim życiem, może w ogóle zrezygnowałabym z tego, żeby żyć. Nie jest łatwo odejść, a ja jestem tchórzem, bo nie potrafiłam ze sobą skończyć. Wszystko analizuję, rozpamiętuję. Zbyt często byłam narażona na śmierć, żeby nie żyć. Tam też mnie nie chcą. Żyję i zabieram życie innym. Wszystkich niszczę – nieświadomie, ale niszczę. Jestem zła. Toksyczna i nieobliczalna. Wszyscy tak mówią, więc to musi być prawda. Mama zmarła cztery lata temu, rok po śmierci ojca – na jej pogrzebie nie uroniłam ani jednej łzy. Zmuszałam się, wydawałam płaczliwe dźwięki, żeby ludzie się nie dziwili i nie komentowali mojej bezduszości, ale ani jedna łza nie popłynęła z moich oczu. Z nikim z rodziny nie miałam kontaktu – nie szukałam go, a i oni nie zabiegali. Nienawidzą mnie tak samo, jak ja nienawidzę siebie.

Nie lubię luster. Nie mogę na siebie patrzeć, bo nie wiem, kogo widzę.

– Mamo, czy ja jestem do ciebie podobna? – będąc małą dziewczynką, często zadawałam jej to pytanie.

– Ty? – matka rzucała z przekąsem. – Ciebie to przyniósł bocian!

– A do taty? Zuzia, moja koleżanka z przedszkola, mówi, że jest podobna do taty. A ja?

– Dziecko... – Zazwyczaj w tym momencie wychodziła z pomieszczenia, w którym akurat się znajdowałyśmy. I udawała, że nie słyszy.

Tak, męczyła ją moja obecność.

Wiedziałam jedno: musiałam jak najszybciej wyprowadzić się z rodzinnego domu. Tam nie było dla mnie miejsca. Nie miałam wyjścia. To był mój jedyny cel, jedyne marzenie. I to marzenie się spełniło, kiedy poznałam Waldka. Był sporo ode mnie starszy i zupełnie nie w moim guście. Miał długiego wąsa i zniszczoną od trądziku twarz. Ale zainteresował się mną i tylko to skłoniło mnie, żeby dalej brnąć w ten związek. Na weselu, które zorganizowaliśmy tanim kosztem u niego w domu, podsłuchałam rozmowę mojego ojca z babcią:

– Nie jest wcale dla niej za stary – tłumaczył swojej matce jak dziecku.

– Przecież to ładna dziewczyna... Nie pośpieszyliście się czasem?

– Babcia próbowała dowiedzieć się, dlaczego tak prędko ten ślub.

– Baba z wozu, koniom łzej.

Nie wiem dlaczego, ale te słowa wciąż brzęczą mi w uszach – tak bardzo do mnie pasują... Gdziekolwiek się pojawiałam, budziłam strach. Ludzie z mojego kręgu, ale nie tylko oni, patrzyli na mnie z pogardą. Dlaczego? Zawsze byłam inna, dziwna, często się alienowałam, ale przecież nie byłam zła... Dlaczego więc ludzie mnie tak ocenili? Nie rozumiałam tego, a kiedy w końcu zrozumiałam, na wszystko było za późno. Już nic nie mogłam zmienić.

Znalazłam się w szczelnie zamkniętej klatce. Rozumiałam, że to dla mnie najodpowiedniejsze miejsce. Na nic lepszego nie zasłużyłam. Byłam i będę zła – słysząc te słowa przez trzydzieści lat mojego życia, od kołyski, nie śmiałabym myśleć, że mogłoby być inaczej.

Cela była standardowa: sześć metrów kwadratowych, dwie osadzone. Ja i Wiola.

Wiola nie była problematyczna, Wiola ciągle spała. Mogłaby mi utrzcę nosa – była grubsza, starsza i dużo dłużej w celi ode mnie. Siedziała za zabójstwo męża, skazana na dożywocie. Mogłaby się nade mną znęcać, w końcu nie miała nic do stracenia – gorszy wyrok jej nie groził. Ale nie, nie robiła tego. Dużo spała, a jak się budziła, to się do mnie uśmiechała. Mało mówiła, a jak już coś powiedziała, to przeważnie były to mądre słowa. Nie szukała kłopotów, była nad wyraz łagodna. Aż dziwne, że dopuściła się tak brutalnego morderstwa... Kiedy się budziła, zazwyczaj w porze posiłków, starała się być dla mnie miła. Skąpo ze mną rozmawiała, czasem opowiadała o swoich marzeniach, planach, których zapewne nigdy nie zrealizuje. Kiedy wyraz twarzy zdradzał moje myśli, milkła i znów zasypiała.

Siedziałam z Wiolą w więzieniu jakieś dwa miesiące, ale nie znałam zbyt wielu szczegółów z jej życia, nie opowiadała mi o tym, co było. Mówiła tylko o swoich planach i irracjonalnych marzeniach. Mówiła też „Cześć”, pytała „Co słyhać?”, „Jak się spało?”. Dla mnie to i tak była spora dawka serdeczności, bo na wolności w ogóle się z czymś takim nie spotykałam. Czułam, że Wiola to moja pokrewna dusza, że dużo nas dzieli, ale jeszcze więcej łączy.

Ja też starałam się za dużo o sobie nie opowiadać. „Nie zrobiłam tego”. Dopiero w więzieniu zrozumiałam, jak banalnie brzmią te słowa. Faktycznie, czasem lepiej milczeć. W końcu złoto jest w cenie.

Byłam zamknięta w małej celi z jednym okratowanym okienkiem, a mimo to czas zapieprzał jak opętany. Na żółtej ścianie wisiał zegar, zaraz pod nim kalendarz. Wcale nie miałam ochoty podchodzić i wyrzywać z niego kartek – czy to nie dziwne? Powinnam z pasją je wyszarpywać, wyczekując dnia, w którym wyjdę na wolność.

Ale ja nie czekałam na to, bo wiedziałam, że nic prócz ludzkiej pogardy i upokorzenia mnie tam nie spotka. Kiedyś zakpiłam sobie z losu i wyrwałam połowę kartki z czerwonymi cyframi – to była niedziela, dwudziesty grudnia. Nie spieszyło mi się do świąt. I kiedy Wiola, wstając na obiad, spojrzała na kalendarz, wtedy po raz pierwszy na jej ustach zobaczyłam szczerzy, niewymuszony uśmiech. Był radosny i taki niedojrzały, ale zawsze to uśmiech – lepsze to niż wąskie zaciśnięte usteczka mojego ojca, a potem mojego męża.

Mój ojciec, to znaczy ten, który mnie wychowywał, miał takie wąskie wargi. Wyglądały jak złączone żyłki. Potem tak samo zaciśnięte wargi pod wielkim wąsiskiem miał mój mąż – wargi przepełnione agresją i zawsze gotowe do kłótni. Czyli jednak kompleks Edypa... Ojca biologicznego nigdy nie poznałam – podobno w więzieniu popełnił samobójstwo. Był skazany na dożywocie. Cholerny ręcznikowy wariat! To dlatego nie lubiłam wycierać się w ręcznik po kąpieli. Zawsze czekałam, aż woda sama wyschnie albo się wchłonie. Podobno takie zabiegi dobrze działają na skórę – jest wtedy bardziej nawilżona.

Taak, jedynym moim atutem było ładne ciało i tylko ono nie pasowało do małej celi, bo sama głowa była w odpowiednim miejscu.

Odkąd poznałam prawdę, w łazience nie miewałam ręczników, a te, które jakimś cudem się tam znalazły, wyrzucałam na śmietnik.

\* \* \*

Uciekał. W ręce trzymał zwinięty ręcznik. Schował się za drzewem, które rosło w parku nieopodal mieszkania, z którego wybiegł.

Pot spływał mu do oczu – nawet gęste rzęsy nie zdołały tego powstrzymać. Z oddali słyszał dźwięk policyjnych syren. Gówniarz przeżył, pomyślał.

To go nie przewidział. Na początku wszystko szło po jego myśli. Zadzwonił do mieszkania numer sześć na łódzkim osiedlu. Jako inkasent. Jego namierzoną potencjalną ofiarą, jedenastą ofiarą, był dziesięcioletni Bartuś – przynajmniej tak się przedstawił. Chłopiec wpuścił go do mieszkania, a następnie poszedł do swojego pokoju, by dokończyć lekcje. Inkasent krzątał się moment po korytarzu, chwilę po łazience. Na zegarze gościła godzina szesnasta, robiło się ciemno – wczesna, niewygodna zima. Bartuś spojrzął na niego, odlepiając na moment swój nos od książek. Wyglądał uroczo, gdy tak siedział przy niebieskim biurku z włączoną lampką w kształcie żółtego słonika. Inkasent poinformował Bartusia, że już skończył. W rękach trzymał wrzosowy ręcznik i wycierał w niego dłonie. Następnie zwinął go w rulon.

– Dlaczego trzyma pan ręcznik? Dlaczego go pan tak zwinął?

Inkasent podszedł bliżej. Zarzucił chłopcu ręcznik na szyję, zdjął mu spodnie.

Potem przez pół godziny siedział skryty za jednym z drzew w gęstym parku i głośno sapał. Zaczął biec, biec w kierunku parkingu. Wsiadł do swojego bordowego poloneza i skierował się na północ. W samochodowym radiu zamiast wesołej piosenki usłyszał o sobie. To wtedy zaczął się bać. Brakowało już małych chłopców, a on wciąż czuł potrzebę, by kogoś skrzywdzić.

Po tygodniu ukrywania się w lesie pod Szczecinkiem zobaczył ją. Szła samiuteńka i zapłakana – najlepsze z możliwych połączeń. Dla niego.

Przynajmniej tak opisali tę sytuację dziennikarze. Czytałam o tym obszerny artykuł.

\* \* \*

Znowu miałam ten natrętnie powracający sen, znowu śnił mi się mój mąż, znowu na mnie krzyczał, znowu mnie obwiniał. A potem mnie przytulał i obiecywał poprawę.

Obudziłam się, poczułam upiornie trzeźwy świt. Byłam mokra i było mi zimno. Wiola nie zamknęła na noc okna i teraz czuć było mroźne grudniowe powietrze. Skóra na twarzy wydawała mi się poprzecinana – jakby ktoś kilka razy przejechał po niej skalpelem. Popatrzyłam na biały sufit, odwróciłam głowę w kierunku pryczy Wioli. Jak zawsze spała, wydawało mi się, że smacznie.

Podciągnęłam koc wyżej, pod sam czubek nosa. Zamknęłam oczy i znowu zaczęłam odtwarzać wydarzenia sprzed roku. A potem wizualizowałam, co by było, gdybym tamtej feralnej nocy nie wysiadła z samochodu.

Spotkanie u znajomych. Nie chciałam jechać, wiedziałam, że imprezy u Walskich zazwyczaj są zakrapiane i zazwyczaj kończą się burdą. Mąż mnie zmusił, on to potrafił: szarpał za włosy, bił po twarzy jak bokser swojego przeciwnika. Zazwyczaj do wszystkiego mnie zmuszał. Przychodził i brał co jego. Co wieczór, kiedy po całym dniu pracy leżałam w łóżku i powolutku zaczynał kołysać mnie sen, pojawiał się on. Jakby wiedział, kiedy ma się zjawić i odebrać mi największą przyjemność zasypiania. Słyszałam jego głuche, ciężkie

kroki, otwierane drzwi sypialni. Kroki stawały się coraz głośniejsze. A potem już słyszałam, jak rozpina spodnie. Szybko przekręcałam się na bok, aby leżeć tyłem do wejścia. I tyłem do niego. Wiedziałam, po co przychodzi. Kładł się obok mnie, śmierdzał alkoholem i potem. Podciągał mi nocną koszulę i wchodził we mnie, chwytając za pierś. Próbował ją masować. Miałam ochotę złapać siekiere i odciąć mu rękę. Po kilkunastu ruchach kończył, wychodził ze mnie i klepał mnie w pośladek. Zapinał rozporek. Wychodząc z sypialni, trzaskał drzwiami. A potem już tylko słyszałam dźwięk otwieranego piwa w puszcze. I beknięcie. Zazwyczaj zasypiał w fotelu w pokoju gościnnym.

Nienawidziłam go, codziennie życzyłam mu śmierci.

I tego wieczoru kiedy Walscy zorganizowali imprezę, moje próśby zostały wysłuchane.

U Walskich mąż się upił. Ja wypiałam jednego drinka – chciałam umilić sobie czas, trochę się znieczulić. Nie słyszeć tych wszystkich obelg, które rzucał w moją stronę. Siedzieliśmy pod wielkim białym parasolem. W odtwarzaczu leciały szlagiery sprzed lat. I nagle mój mąż wszczął awanturę. Chyba zirytowało go moje milczenie.

– Jak siedzisz, szmato? Matka niczego cię nie nauczyła? Ja mam cię uczyć?

– Waldek, ucisz się, proszę, jesteśmy w gościach – prosiłam go spokojnie, prostując plecy.

– Nie mów mi, co mam robić, ty, ty... – przez chwilę jakby szukał słów – ...ty kurewskie nasienie.

Zrobiło mi się przykro. Zaczęłam płakać. Pożałowałam, że wypiałam tego drinka, inaczej mogłabym wsiąść do samochodu

i odjechać, najlepiej przed siebie, w nieznanym kierunku. A on nakręcał się, z minuty na minutę coraz bardziej. I był coraz bardziej wulgarny. Walski próbował go uciszyć, a Walska udawała, że sprząta ze stołu brudne naczynia. Nie było mi wstyd przed znajomymi męża, było mi po prostu przykro. Czułam się zmęczona życiem.

W pewnym momencie przestałam płakać, ale nadal milczałam. Nie reagowałam na zaczepki i wulgaryzmy męża, które ten co chwila wysyłał pod moim adresem.

– Franco, co tak milczysz? Zatkano cię? No, powiedz coś.

Nie odzywałam się. W pewnym momencie chwycił mnie za włosy i zaczął ciągnąć do samochodu. Już na chodniku upadłam na kolana i zdarłam sobie skórę. Wrzucił mnie jak worek kartofli na przednie siedzenie od strony pasażera, a sam usiadł za kierownicą.

Inaczej się umawialiśmy: tej nocy mieliśmy spać u Walskich. Dlatego wypiliśmy drinka. Włączył silnik i ruszył z piskiem opon. Prowadził samochód, jakby nie widział drogi. Jechał wężykiem. I nie tylko z powodu upojenia alkoholowego – w międzyczasie okładał mnie pięściami po głowie. To chyba nawet bardziej go oślepiało. Nagle ostro wcisnął pedał hamulca – na wąskiej drodze leżała sporych rozmiarów gałąź. Samochód ślizgał się po jezdni jak łyżwiarz na lodowisku, aż w końcu stanęliśmy.

Wydostałam się z auta i zaczęłam biec. Uciekałam. Biegłam przez ciemny las, nie wiedząc dokąd. Oczy mnie niosły. Z mojej skroni sączyła się krew – widać wyskakując z samochodu, musiałam uderzyć się o zwisającą gałąź.

Tej nocy Waldek nie gonił mnie, nie wysiadł nawet z samochodu. Przejechał po leżącej na drodze gałęzi i pomknął dalej, jakby



zrozumiał, że to koniec, albo jakby był pewien, że wrócę i wtedy porachuje mi kości.

Ale nie wróciłam tamtej nocy do domu, w ogóle już nie wróciłam. Z dwudziestoma złotymi w kieszeni tłukłam się tramwajem po Poznaniu, byle z dala od niego. Dwie noce spałam na dworcu. Na starówce, podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Coś do mnie mówił, ale nie pamiętam, czego dotyczyła rozmowa. Zemdlałam i oprzytomniałam dopiero w szpitalu. To stamtąd przewieźli mnie do aresztu. A potem wszystko już samo się potoczyło.

– Jest pani winna śmierci swojego męża – oświadczył policjant prowadzący śledztwo. – Pozwoliła pani, żeby wsiadł do samochodu pod wpływem alkoholu. Z wygody, bo pani też tego dnia piła alkohol. Kiedy pani mąż uderzył w drzewo, uciekła pani z auta, żeby uniknąć odpowiedzialności. Jest pani współwinna. Gdyby pani wówczas nie uciekła z samochodu... gdyby pani wezwała karetkę pogotowia... być może pani mąż by teraz żył.

Te ostre, a zarazem nieprawdziwe słowa padły z ust policjanta, który przypominał mi krasnala Hałabałę z bajki dla dzieci. Miał okrągły czerwony nos i tak samo zaczerwienione policzki. Był małutki i grubiułki. Tylko jak na Hałabałę trochę mało przyjemny.

– Ja nie uciekłam po wypadku, tylko przed wypadkiem. Przed wypadkiem i przed mężem – dodałam. – Mąż mnie bił.

Tłumaczyłam się jak dziecko, ale nikt nie dał wiary moim słowom. Znajomi męża i jego rodzina solidarnie się za nim wstawili. Oświadczyli na posterunku, że to był nad wyraz spokojny i nad wyraz łagodny człowiek. I że to ja byłam wulgarna. Zeznali też, że

zaniedbywałam męża i dom. Powiedzieli, że byłam „psychicznie niezdolna do wypełniania podstawowych obowiązków małżeńskich”. W sądzie sytuacja się powtórzyła: ci sami świadkowie, te same zeznania. Nie miałam żadnych szans. Nikt mi nie uwierzył. Dostałam pięć lata odsiadki.

Zostało mi trzy i pół roku. A w więzieniu nie jest źle, może nawet lepiej niż w domu. Zresztą, jakim domu? Może właśnie dlatego mi tu lepiej, ponieważ nigdy nie miałam domu z prawdziwego zdarzenia. Nie spieszyło mi się do wyjścia.

Słowa, którymi obrzucał mnie mąż, nie bolały – przywykłam do nich. Takie lub podobne słyszałam od urodzenia w moim rodzinnym domu. Ojciec kierował je do mojej mamy, a potem, jak trochę podrosłam, także do mnie. Psychicznie byłam odporna. Fizycznie – nie za bardzo.

Natomiast bolało, jak mnie bił, szarpał mną jak marionetką. Kopał, tak jak się kopie natrętnego psa. Ale nie miałam nic na poparcie swoich słów przed sądem. Żadnych dowodów. Wszyscy znajomi się na mnie wypieli, rodzina męża mnie pogrzyżyła. Nikt nie szukał ze mną kontaktu, nikt mi nie wierzył. Własnej rodziny nie miałam, ojciec z matką nie żyli. Wszystko to wydawało mi się takie dziwne... Przecież każdy doskonale wiedział, jaki był mój mąż i jak mnie traktował...

Wiola się obudziła i spojrzała na mnie mętным wzrokiem. Przez ostatni rok nasze relacje uległy fascynującej przemianie. Wiola stała się moją powierniczką, a tym samym najlepszą przyjaciółką.

– Już nie śpisz? – zwróciła się do mnie, nadal zaspana.